



Mirosław Derecki (M.D.)

KINO JAKO BAŚŃ

Jedną z najmarniejszych adaptacji filmowych poczytnych powieści, jaką oglądałem w ostatnich czasach, są angielskie „Psy wojny”, w reżyserii Johna Irvina. Książkowy bestseller Frederica Forstha - poza tym, autora „Dnia Szakala” i nie tłumaczonej na język polski „Odessa File”, specjalisty od psoudodokumentalnych powieści sensacyjnych - zyskał niestety tym razem inaczej niż „Dzień Szakala”, interpretatora nad wyraz miernego. Film jest w sumie nudnawy, bez rozmachu i polotu, tak niezbędnego w sensacyjnych filmach wojennych, a najistotniejsza strona książki (opis precyzyjnych i drobiazgowych przygotowań w skompletowaniu grupy białych najemników-komandosów, a następnie realizacji opanowania afrykańskiego marionetkowego państewka Zangaro na zamówienie potężnego kapitalistycznego koncernu) została w filmowych „Psach wojny” zupełnie „puszczona”. Reżyser skoncentrował się przede wszystkim na rozbudowaniu sekwencji ataku na stolicę Zangaro, nasycając akcję do granic możliwości efektami pirotechnicznymi, zresztą nie wnosząc nawet w tym względzie szczególnie nowych i odkrywczych pomysłów.

Nic dziwnego, że „Psy wojny” nie cieszyły się wśród naszej publiczności aż taką frekwencją, jakiej należałoby oczekiwać. Rzecz ciekawa: doskonały, nakręcony z ogromnymi umiejętnościami technicznymi i przyprawiony potężnym ładunkiem suspense - mieszczący się w podobnej kategorii filmów co „Psy wojny” - amerykański „Błękitny Grom” Johna Badhama, ze znakomitym, pamiętnym ze „Szczęk”, Royem Scheiderem w głównej roli, aczkolwiek o wiele lepiej przyjmowany - również nie okazał się jakąś wyjątkową kasową „bombą”. Na przykład w lubelskim kinie „Kosmos” prawdziwą „kasę”, która pozwoliła wypełnić finansowe i plany tej placówki już na długo przed końcem roku, zrobiły: „Poszukiwacze zaginionej Arki” niezawodnego Stevena Spielberga, a poza tym... dwa filmy polskie - „Akademia Pana Kleksa” - filmowa „baśń” dla dzieci, oraz „Seksmisja” - „przyszłościowa” filmowa „baśń” dla dorosłych. „Poszukiwacze zaginionej Arki” też są zresztą swoistą ekranową baśnią. Pełną cudownych i nieprawdopodobnych, niewiarygodnych, a jednak jakby całkiem, realnych historii, opowieści rodem z tych snutyh dawnymi czasy przy kominku, lub - w zależności, od społeczno-ekonomicznego statusu - przy piecu kuchennym, przez rodzinnych bazarzy. Tyle, że Spielberg, ciągnąc swoje filmowe opowieści,

ma możliwość przywołania dodatkowo na pomoc nieograniczonych cudów techniki filmowej. Którą dysponuje i na którą go stać finansowo.

Baśniowość i oczarowanie techniką: ależ TO właśnie stało u podstaw sukcesu nowej sztuki - kina, w pierwszym okresie po jego narodzinach! Kino stało się sztuką dla mas, bo przemawiało do masowej, wyobraźni, bo spełniało zapotrzebowanie ówczesnych mas ludowych na baśń. Na baśni wychowanych, ale zarazem wciąganych już coraz bardziej - ze względu na warunki pracy - w sferę techniki; techniką tą zafascynowanych.

Kino było rozrywką masową, prymitywną. Dopiero z czasem nabrało ambicji wejścia w orbitę Sztuki. Nabrało ciężot intelektualnych. Przyszedł czas na historiozofię, psychologię, publicystykę ekranową. Kino zaczęło tracić swą ludyczność, „zabawowość”; domagało się, aby w jego odbiorze; „intelekt” wysunął się na pierwsze miejsce przed charakterystyczną dla początków kina „uczuciowością”. W jednym z wrześniowych numerów tygodnika „Film” Jerzy Górzeński tak pisze o odczuciach podczas projekcji spielbergowskich „Poszukiwaczy zaginionej Arki”, których oglądał razem, ze swoim dzieckiem: „Patrzę na syna, jak on patrzy na Indianę Jonesa. Mam za sobą przeszłość komiksową, wychowany na „Świecie przygód” czy „Sierżancie Kingu z Królewskiej Konnej”, czują się jak u siebie w domu. Syn, wychowany na „Relaxie”, na zeszytach z serii „Podziemny front”, czy też serii o kapitanie Żbiku, nie zwraca szczególnej uwagi na Arkę Przymierza, mitologiczne odniesienia, gadanie o tym, że arka to nadajnik do rozmowy z Bogiem, jego interesuje wyłącznie montaż atrakcji. Mnie z trudem, muszę przyznać, udaje się przemóc przeklęty nawyk, racjonalizowania tego, co z założenia jest irracjonalne, naiwne na usługach konwencji. Reżyser Spielberg (...) i producent Lucas stworzyli rzecz niebywałą - kino atrakcji, odwołujące się bezpośrednio do chłopięcych marzeń”.

Ależ tak: chłopiec odbiera Spielberga w sposób czysty i nieskażony, „z dziecinną prostotą”! Jako baśniową opowieść, którą należy czuć a nie rozumieć. Przede wszystkim czuć. Oraz - przeżywać. Bez głębszego zastanawiania się.

To właśnie jest istota filmów Spielberga. Wyznacznik jego nieprawdopodobnych sukcesów na całym świecie. Kino zatoczyło jakby ogromne koło: publiczność jest już zmęczona ciągłym analizowaniem, wgłębianiem się w „istotę problemów”, poddawaniem faktów „krytycznym ocenom” i wyciąganiem z tego „właściwych wniosków”. Publiczność chce ucieczki od problemów dnia codziennego. Chce odprężenia w ciemności kinowej sali. Pożąda samooczyszczenia poprzez powrót do źródeł. Do świata baśni, gdzie wszystko jest możliwe, czyste i piękne, choć tak bardzo nieprawdopodobne. Właśnie ten moment zdołał uchwycić i wyjść mu naprzeciw Steven Spielberg. Może przyszło mu to tym łatwiej, że - jak twierdzi - sam jest wciąż dużym dzieckiem, które sobie i innym opowiada niezwykle historie;

tyle że na sposób współczesny, przy pomocy kamery i sięgając do „współczesnej” lub „przyszłościowej” tematyki.

Właśnie taką „przyszłościową” ekranową baśnią jest jeden z ostatnich filmów Spielberga: słynny, bijący rekordy kasowości „E.T.” (ostatnio pojawił się także na polskich ekranach). Opowieść o małym stworze z Kosmosu, który dzięki splotowi różnych okoliczności trafiwszy na Ziemię, znalazł przyjaciół i opiekunów w gromadce dzieci. Baśń o przyjaźni, wrażliwości, miłości do innych istot, o serdeczności i wzajemnej życzliwości. Baśń - której wszyscy tak bardzo potrzebujemy...

Szerzej o „E.T.” - w jednym z najbliższych felietonów.

Pierwodruk: „Kamena”, 1984, nr 26, s. 22.